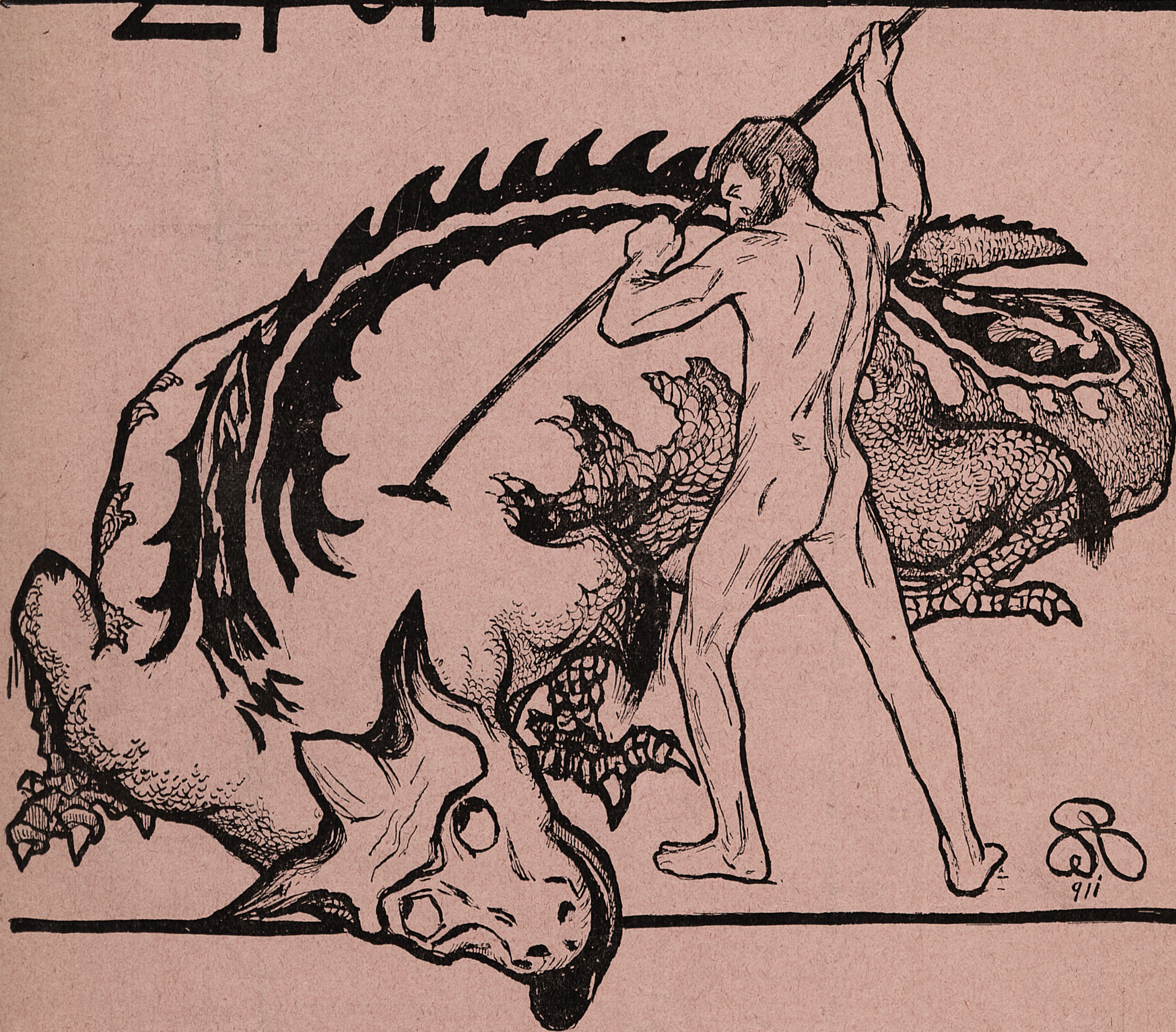
# ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXVIII.

DNIA 8. LIPCA 1911 R.

**Wydawcy:**
**Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.**
**Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.**

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ"
KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31.
...SZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".




# ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

## ZWYCIĘSTWO.



ak więc z placu boju wychodzi Polskie Stronnictwo postępowe jako zwycięzca!

Młode stronnictwo spróbowało sił swoich w obecnej kampanii wyborczej i postawiwszy tylko w dwóch okręgach stolicy kraju własnych kandydatów, zdołało ich przeprowadzić.

Walka, którą prowadziło w ciągu niespełna trzech miesięcy, była walką i ciężką i żmudną i wymagającą wielkiego natężenia sił i wielkiego poświęcenia osobistego. Sieć intryg i niechęci i ataków osobistej natury i Bóg wie jakich wymysłów i wymyślań otaczała stale i ciągle tych kandydatów, którym stronnictwo poleciło stanąć do walki.

We walce tej przeciwnicy nowego stronnictwa nie oszczędzali nigdy broni najbardziej zjadliwej, najmocniej kolącej: godzili przedewszystkiem w cześć osobistą, podkopywali zaufanie do osoby kandydata, do jego wartości moralnej, do zdolności osobistych.

Przetrwali to nowi zapaśnicy.

Na szeregu zgromadzeń, stale publicznych i jawnych i wszystkim dostępnych, dawali możność i słuchania ich poglądów i programów i objawiania opinii wyborców, ich życzeń i dążeń i żądali szczerej i otwartej krytyki.

I oto wytworzyła się między wyborcami a tymi kandydatami, między ludem a przyszłymi tegoż reprezentantami dziwna, dawno niewidziana atmosfera: serdeczność i uczucie harmonii i łączności zbliżało nawzajem ku sobie. Czuło się, jak z każdym dniem następuje zbliżenie, jak za kandydatami rośnie masa ludu, popierającego ich z mocy głębokiego przekonania, z mocy przeświadczenia, że to nie przypadek, nie podstęp, nie intryga, nie fałsz, ni gwałt, ale coś potężniejszego nad wszystko każe wysuwać na czoło tych właśnie a nie innych.

Zwycięstwo odniosło formalnie stronnictwo, zwycięscami są kandydaci, których wysłało — ale naprawdę zwyciężyła tym razem wielka idea!

Ta idea przewodnia, obrona szerokich mas, współczucie z nimi, odczucie ich trosk i krzywd

i niedomagań i potrzeb, chęć życia się z nimi, zrozumienia ich duszy i oddźwięk szczery, impulsywny zastąpienia ich praw — to odgrywało w lwowskiej kampanii wyborczej pierwszorzędną rolę.

Skromne, początkujące stronnictwo, bez poparcia u góry, wbrew zorganizowanej władzy i wbrew rządzącym w mieście stronnictwom występujące do walki, za mało miało sił i środków, aby podołać groźnym i doświadczonym przeciwnikom i byłoby niechybnie uległo, gdyby w szranki bojowe nie wstąpił czynnik nowy, gorący, serdeczny, ofiarny, nie żądny ni zysków, ni osobistych nagród a tylko idący ze silną wiarą, zapałem i miłością za swoimi wybrańcami.

Ten czynnik — to masy ludu, owiane tą samą myślą, tą samą ideą, ufne, zapatrzone w jedno hasło, które objawiło się po zwycięstwie szczerym a tak sercu drogim okrzykiem: niech żyje nasz poseł!

Tak szli do boju nowi ci zapaśnicy, jako reprezentanci całego ludu i zwyciężyli jako wybrańcy tego ludu!

Nie pomogły ni gwałty, ni podstępy, ni fałsze, ani też sztuki wyborcze. Zwyciężył lud, zwyciężyła idea obrony ludu i jego praw.

Po tej drodze pójdą ci nasi posłowie nowi z wiarą, że tak najlepiej służy się Ojczyźnie.



M. LELIWA.

# SŁOWO HETMAŃSKIE.

*Sauve qui peut!*

A raczej: uciekaj, komu się podoba!

Nowa komenda, nieznana regulaminom wojskowym starej Rzpltej, ani Polski porozbiorowej.

Stworzyło ją nowoczesne narodu hetmaństwo.

Rzucił ją Roman Dmowski.

Zjazd stronnictwa demokratyczno-narodowego odegrał rolę rady wojennej; albowiem — pisał kiedyś Mierosławski — na to są rady wojenne, aby osłaniać hańbiącą decyzyę wodza.

Rolę Skulskiego (pamiętacie? oficerek, który zbyt późno poczciwemu Giełgudowi w łeb palnął), odegrał młodzieniec pewien, do niedawna z pewnością oddany Dmowskiemu całą naiwną wiarą szeregowca i na skinienie jego gotów przelać krew bratnią. Tylko policzek zastąpił kulę pistoletową. Zachowaną bowiem musiała być proporcya do nędzy dnia dzisiejszego.

Lecz Dmowski figurycznie tylko z wodzem wojskowym może być porównany. On chciał być mężem stanu o żelaznej ręce. Chciał odegrać rolę Wielopolskiego w warunkach pomyślniejszych, przy poparciu większości narodu, przy wstręcie tejże większości do awantur powstańczych. Pomylił się tylko. Skonstatowano to kiedyś znakomitem piórem historyka. Pomylił się w jednem. A mianowicie: Wielopolski najpierw reformy przywiózł, później brał się do tłumienia ruchu. Dmowski zaczął od walki z rewolucyą. Reformy przyjść miały później. Więc Dmowski był tylko zwyrodniałą, spotworniałą edycyą margrabiego. Porównanie powraca: w margrabiego godzono kulą i nożem zatrutym. U kresu karyery Dmowskiego był polityczny policzek. Znowu zachowana proporcya.

Uciekaj, komu się podoba!

Oto sens moralny, czy niemoralny uchwał demokracyi narodowej.

Zapomocą „rundreise" via Poznań poszły po prasie uchwały zjazdu warszawskiego. Przytaczamy je. To historyczny dokument. Z nich, jak Cuvier z kawałka kości, zrekonstruować można całą fizyognomię owego tworu, z którego poszły...

„Zjazd uznaje, że stosunki, jakie się wytworzyły w sprawie szkolnej w Królestwie są nienormalne i szkodliwe i uważa za konieczne dążyć do ich uzdrowienia, o tyle przynajmniej, o ile to od społeczeństwa polskiego zależy.

W tym celu zjazd uchwala następujące zasady, które odtąd wszystkich członków stronnictwa mają obowiązywać:

1) Jakkolwiek ustrój wyższych szkół rządowych w kraju, w szczególności uniwersytetu i politechniki warszawskiej, nie odpowiada potrzebom społeczeństwa polskiego, a poziom ich naukowy jest bardzo nizki, co skłaniać powinno młodzież polską do zdobywania wykształcenia wyższego za kordonem i zagranicą — to jednak nie należy stawiać przeszkód tej części młodzieży, która dla braku środków lub z innych względów zmuszona jest odbywać studya wyższe w kraju, zjazd bowiem uważa to z względów narodowych za korzystniejsze od wyjazdu na wyższe studya do Rosyi.

2) Szkoła średnia polska, pomimo ciężkich warunków, w jakich ją przepisy i polityka rządu postawiła, w ciągu swego sześcioletniego istnienia stanęła na wysokości dzisiejszych wymagań wychowawczych cywilizowanego społeczeństwa. Stwierdziła ona, że tylko szkoła ojczysta może prowadzić z pożytkiem dzieło wychowania młodych pokoleń. Zjazd ten uznaje, że rodzice polscy, pojmujący należycie swe obowiązki, w tej

tylko polskiej szkole kształcić swe dzieci powinni, a młodzież polska dopiero po otrzymaniu matur polskich może się starać o matury rządowe, o ile ich potrzebuje. Niemniej przeto ta część młodzieży, która z tych lub innych przyczyn pobiera naukę w szkołach średnich rządowych, winna być postawiona w warunki, w którychby wpływ otoczenia polskiego oddziaływał na nią jak najkorzystniej, zmniejszając te szkody, jakie dla niej wynikają z kształcenia się w szkole obcej.

3) Prześladowanie lub usuwanie od obcowania towarzyskiego młodzieży polskiej z racyi uczęszczania jej do szkół rządowych, wyższych czy średnich, Zjazd poczytuje za szkodliwe ze względów narodowych i uważa za niedopuszczalne, ażeby członkowie stronnictwa akcyę tego rodzaju w jakikolwiek sposób popierali.

4) Zjazd wzywa przedstawicielstwo polskie w izbach prawodawczych do podjęcia akcyi ku podniesieniu poziomu naukowego wyższych uczelni w Królestwie, ku usunięciu z nich polityki, w szczególności zaś tkwiącego w samym ustroju szkół i praktykowanego przez władze szkolne bojkotu nauki polskiej, oraz ku pozyskaniu dla polskiej szkoły średniej trwałych podstaw prawnych, zapewniających jej większą swobodę pracy i zabezpieczających ją od dezorganizacyi ze strony władz rządowych".

Więc — jakkolwiek młodzież polska powinna zdobywać wykształcenie wyższe za kordonem i zagranicą — to jednak nie należy przeszkadzać jej w odbywaniu tych studyów w kraju. Szkoła średnia polska stwierdziła, że tylko szkoła ojczysta może prowadzić z pożytkiem dzieło wychowania młodych pokoleń — niemniej przeto ci, którzy kształcą się w szkołach rządowych, wzięci być mają w opiekę społeczeństwa. Wreszcie: szkodliwem ze względów narodowych jest prześladowanie młodzieży, uczęszczającej do szkół rosyjskich. Dodatek o akcyi w izbach prawodawczych w obecnych warunkach jest tylko zbędnym ornamentem.

Ci, co to uchwalali, wiedzieli dobrze, że podpisują wyrok na to samo polskie szkolnictwo prywatne, które rezolucya ich pod niebo wynosi; że udzielają sankcyi moralnej, czy niemoralnej, wszelkim objawom małoduszności osobistej, służalstwa, karyerowiczowstwa, tęsknoty do rządowego żłobu. Ci, którzy dotąd jako łamistrejki znosili banicyę moralną, teraz „ze względów narodowych" będą przedmiotem pieczołowitości ogółu polskiego. Nauka prywatna regułą być przestanie: stanie się wyjątkiem. Wierna szkole polskiej młodzież w wyższym niż dotąd stopniu wystawiona będzie na szykany i prześladowanie. Zamiast iść po wiedzę na polskie wszechnice i politechnikę polską, zamiast szukać w uczelniach Zachodu najświetniejszych wyników kultury europejskiej, tłoczyć się będzie młodzież nasza u wrót uniwersytetu i politechniki warszawskiej, najnędzniejszych chyba wyższych uczelni w Europie, rosyjskich dzisiaj na wskróś, rosyjskich przez skład swych słuchaczy. Stan, wytworzony przez uchwałę demokratyczno-narodową, gorszym musi być od wszystkiego, co było przed rokiem 1905, przed strejkiem.

Z niemiłosiernym sarkazmem wysnuwa p. Iza Moszczeńska konkluzye logiczne z uchwały narodowych demokratów:

„Uczcie się oddzielnie — abyście tylko tańczyli razem — tak się tłumaczyć będzie w karnawale dzisiejsze hasło endecyi na prosty język potoczny.

„Wolno wybierać szkołę, jaką kto chce, jaka mu „z tych czy innych przyczyn" najlepiej odpowiada, — ale gości na zebranie towarzyskie żadnemu lojalnemu narodowemu demokracie wybierać nie wolno — i na tem właśnie zagadkowy dotąd demokratyzm stronnictwa polegać będzie.

„Dalszem rozwinięciem tej demokratycznej idei są w „Gazecie Warszawskiej" słowa potępienia dla deprawującego ogół młodzieży wywyższania się jednych nad drugich t. j. szczęśliwych (czyniących to, co endecya zaleca) nad nieszczęśliwych (czyniących to, w czem ona nie przeszkadza) oraz gorący wyraz współczucia dla tych ostatnich grup młodzieży, niemniej polskiej niż inne, choć znajdują się na drodze, na którą wedle wstępnych słów deklaracyi, wchodzić nie powinny. Tak tolerancyjną narodowa demokracya jeszcze nigdy nie była względem żadnej opozycyi. Od dziś zatem — o ile całe stronnictwo n. d. stanowi jeszcze jak przed 6-ciu laty „cały naród", zapanuje w szeregach młodzieży zupełna wolność, niezmącone braterstwo oraz nienaruszalna równość. Jedni będą mieli naukę całkowicie pożyteczną, szkoły stojące na wysokości wymagań cywilizowanego świata, a wiszące na włosku cyrkularzy i rozporządzeń, drogę do wszelkich stanowisk zastawioną spiętrzonemi przeszkodami i skromne poświadczenie, że są niezasłużenie szczęśliwi; drudzy zaś otrzymają naukę tanią, dyplomy, prawa, wydeptaną ścieżkę do karyery, współczucie dla swej niedoli, wiarę rodaków w swe przyszłe bohaterstwo i zasługi dla kraju i „last not least" — opiekę narodowej demokracyi, dzięki czemu będą bezpiecznie po żmijach zdradliwych i po padalcach deptać niecierpliwych".

— — — — — — — — — — — — — —

Gdy latem 1905 r. decydowano permanencyę strejku, gdy przeobrażano go w bojkot, podniósł się śmiały głos obywatelski, doradzający, aby na imponującej manifestacyi poprzestać i ławą wrócić do szkoły. Był to głos prof. Szymona Askenazego. Był on w sprzeczności z ogólnym nastrojem społeczeństwa, które wierzyło w rychły tryumf wolności. Zaatakowano prof. Askenazego ze strony socyalistycznej. Ale błotem zniewag obrzuciła go głównie narodowa demokracya.

Odtąd cóż się zmieniło? To tylko, że powrót do szkół rządowych nie uczyni już uniwersytetu ani politechniki polskiemi w wewnętrznem życiu, w składzie słuchaczy. Że gorszą, podlejszą, bezwzględniej rusyfikatorską będzie teraz szkoła rządowa. Że rozwinięte szkolnictwo prywatne polskie istnieje dzięki ciężkim ofiarom społeczeństwa i młodzieży, jako jedyna widoma zdobycz tylu walk i wysileń!

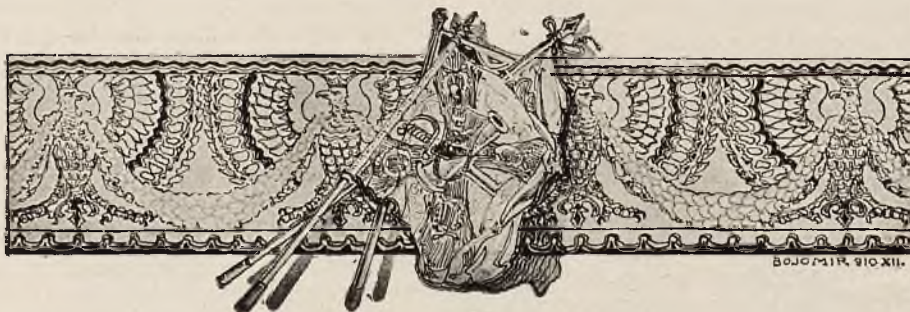
Wszystko, co na poparcie uchwały swej przytaczają pp. narodowi demokraci, jeśli prawdą jest teraz — było nią w r. 1905. Nie masz racyi, któraby teraz inaczej pozwalała rozstrzygać sprawę, niż wtedy.

Jest jedna: osłabienie bojkotu. Tłumna do szkół rządowych defekcya. Uchwała narodowej demokracyi idzie za żywiołowym prądem małoduszności, słabości, zaprzaństwa. Zapragnął hetman Dmowski komendy nad uciekinierami. Opuszczony przez młodzież i inteligencyę patryotyczną, z uciekinierów nowe zaciągać chce chorągwie.

Tak pojęła i tak oceniła czyn jego młodzież.

Krok p. Antoniego Ostrowskiego był oceny tej wyrazem.

Dziś — pisze „Kuryer Poranny“ — „najsłuszniej będzie chyba pod względem politycznym przejść do porządku nad całą tą tersytyadą dokoła zwłok Endecyi, nad którą, jak nad nową Pentesileą, słychać tylko grzmoty wyzw sk i pięści“.




TEDDY.

# MAGIA NARODOWA*).

Upadek Narodowej Demokracyi, jaki zaznaczył się w ostatnich wyborach, był — mimo wszystko — szybszy, aniżeli się można było spodziewać. Kto znał pisma publicystów stronnictwa i jego strukturę wewnętrzną, wiedział, że do tego prędzej czy później dojść musi; nie można było jednak przypuszczać, że jego frazeologia tak rychło straci moc przyciągającą, wywieraną dotąd na szerokie masy inteligencyi.

Dotychczasowi krytycy polityki Narodowej Demokracyi dostatecznie oświetlili wszelkie sprzeczności, które zachodziły czy to w samej teoryi stronnictwa, czy w drodze, jaką ona odbywała ku praktyce. Myślę jednak, że za wiele tu poświęcano uwagi ludziom, ich ambicyom osobistym, ich sympatyom czy antypatyom, ich umysłowości, za mało zajmowano się samą ideologią partyi. Robić to więc może czasami wrażenie, że kierunek jest doskonały, splugawiony został tylko przez ludzi, którzy go opanowali. Wszakżeż niczego innego nie twierdzi fronda narodowo-demokratyczna, grupująca się około »Rzeczypospolitej«, nawołująca do powrotu do ideologii kierunku w jego pierwotnej czystości, a odżegnująca się radykalizmu p. Grabskiego i zgubnych jego skutków. W ostatniej też chwili rozeszła się pogłoska, że p. Grabski podobno opuścić ma prezydyum stronnictwa. Nie sądzę, żeby się stało bez krzywdy dla p. Grabskiego, gdyby go zrobić chciano tym cielcem ofiarnym, mażącym winy stronnictwa. Przeciwnie będzie chyba na czasie wykazać, że w samych podstawach, w założeniu kierunku i stronnictwa były błędy, które katastrofę nieodwołalnie sprowadzić musiały.

Nie od rzeczy będzie raz jeszcze sięgnąć do historyi. Kierunek narodowo-demokratyczny wyłonił się z emigracyjnej organizacyi spiskowej »Ligi Polskiej«. Były to ostatki tradycyi, sięgającej jeszcze czasów po 1831 r., tradycyi, która niejednokrotnie już krajowi zaszkodziła, wywołała tyle nieudałych, poronionych już w samym pomyśle wypraw, tyle ofiar wydała na daremne stracenie. Emigracya była niejako raną, ustawicznie jątrzącą się na ciele narodu, ogniskiem nieustającej fermentacyi. Już Seweryn Goszczyński w memoryale do Centralizacyi Towarzystwa Demokratycznego o stanie ruchu spiskowego w Galicyi wykazywał szkodliwość kierowania ruchem krajowym z zagranicy i przez emissaryuszy, nie obeznanych z terenem miejscowym, nie mających pojęcia o jego stosunkach i potrzebach. Tam na emigracyi Polska nie przedstawiała się jako kraj i ludzie, pozostający w danych stosunkach politycznych, prawnych, społecznych, gospodarczych, jako kompleks faktów i stosunków realnych, ziemskich, ustawicznie się komplikujących: w świadomości ich występowała Polska tylko jako jakaś całość ogólna, pozbawiona cech konkretnych, jakaś istność metafizyczna, zwana narodem, o której tyle tylko dało się powiedzieć, że została pozbawiona swego widzialnego wyrazu tj. formy państwowej. Ojczyzna jest to idea, powiedział Mickiewicz. Emigracya pozostawała zdala od narodu, nie żyła jego życiem codziennem, jego realnemi potrzebami. Nic dziwnego, że naród przedstawiał się dla niej jako jedność niezróżnicowana, nic dziwnego, że cała rzeczywistość narodowa przemieniała się tu w mit, którym było dążenie do niepodległej Polski, nie liczące się z warunkami realizacyi, zastanawiające cały tok normalnego życia, zaspokojenie wszystkich piekących potrzeb społecznych aż do owej zbawczej chwili, która za jednym zamachem odmieni wszystko. Dla emigracyi naród bez państwa nie żył, spoczywał w grobie. Chwila odzyskania niepodległości miała być chwilą zmartwychwstania narodu.

Organizacya krajowa, założona przez »Ligę Polską«, mogła być wobec tego tylko organizacyą wojskową. Przetrwały wskazania Towarzystwa Demokratycznego, dążące do wciągnięcia ludu do powstania. Publicyści narodowo-demokratyczni (np. G. Topór) niejednokrotnie wskazywali różnicę między rewolucyą wojskową a powstaniem ludowem. Jeśli powstania 1831 i 1863 r. nie powiodły się, to tylko skutkiem braku oddźwięku w ludzie, skutkiem braku siły moralnej,

---

*) Artykuł dyskusyjny. Redakcya pewnych wypowiedzianych w nim poglądów nie podziela. Zamieści polemikę.

stamtąd płynącej. Należało więc dążyć do uświadomienia ludu, do narzucenia mu tradycyi powstańczej, wciągnięcia w karby organizacyi. Lud przymierał z głodu, lud emigrował z nędzy coraz liczniej, lud odczuwał swoje upośledzenie gospodarcze; narodowi demokraci nauczali go historyi polskiej, mówili mu o dawnej świetności, o powstaniach, o chwale i bohaterstwie męczenników. Spraw gospodarczych nie można było poruszać, bo one wnosiły pierwiastki antagonizmów społecznych, powstanie zaś objąć miało cały naród.

Lecz publicyści narodowo-demokratyczni wprędce poczęli odczuwać utopijność haseł powstańczych. G. Topór znowu szeroko dowodził, że w chwili obecnej myśleć o powstaniu, jest rzecz absurdalna. R. Dmowski tłómaczył, że dla Ojczyzny działać należy nie odświętnie, nie w chwili wyjątkowej, ale codziennie, każdą swoją czynnością, myślą każdą. Nowy kurs znalazł w »Tece« gorące odbicie pośród młodzieży. Zapał wojenny zwrócił się teraz 'na wewnątrz narodu. Rzucano hasło organizowania się wewnętrznego. Nie chodziło już o spójną organizacyę wojskową, ale o organizacyę moralną, organizacyę opinii, o podnoszenie moralne społeczeństwa, przygotowywanie nastroju duchowego, wzmaganie sił moralnych, dźwiganie polskości.

Dawniej mówiono i myślano zawsze o Polsce od morza do morza, ogarniano planami całe społeczeństwo w granicach dawnej Rzeczypospolitej. Teraz, z chwilą rozpoczęcia pogłębiania polskości, oczyszczania ducha narodowego z obcych pierwiastków, poczęło się nagle kurczenie do granic polskiego stanu posiadania, do granic etnograficznych, oczywiście czy to zwartych obszarów, czy wysep narodowościowych. Dawniej obejmowano myślą naród jako jedność, z pominięciem wszelkich pierwiastków, któreby mogły krzewić antagonizm, teraz zaczęto eliminować z narodu coraz inne pierwiastki »nienarodowe«, zaczęto zstępować do tajemnych źródeł duszy polskiej i w ich imię rzucać anatemę na nienarodowe prądy, nienarodowe sposoby myślenia, nienarodowych pisarzy, nienarodowe stronnictwa, nienarodowych działaczy. Naród znowu się stał istnością metafizyczną, której istnienia dowodził za Cieszkowskim Wincenty Lutosławski, przez starych narodowych demokratów przezywany szarlatanem, przez młodych z »Czytelni Akademickiej« przyjmowany z entuzyazmem. Zygmunt Wasilewski z pytyjskiem namaszczeniem prawił teraz kazania moralne o »komórce psychicznej nastrojonej etycznie«. Dawniej z czcią wspominano Berka Joselowicza, teraz widziano u Żydów asymilujących się tylko interesowny patryotyzm; dawniej powoływano się na unie litewsko-rusko-polskie, teraz broniono przeciw wrogom stanu posiadania. Hasłem stało się utrzymanie kultury narodowej w całej jej rasowej czystości, tylko że nikt nie kwapił się wykazać, jakie są probierze rasowości w społeczeństwie, powstałem z tak różnolitych składników etnicznych, jak polskie; jakie probierze narodowości w wytworach tak wysokich i skomplikowanych, jak literatura, sztuka, poglądy na świat, polityka. Tem łatwiejsze przeto, bo nie ulegające rozumowej opozycyi, było owo wyklinanie w imię polskości tajemniczej rozmaitych niemiłych objawów dzisiejszego życia. Zygmunt Wasilewski, St. Grabski, R. Dmowski, a później już... A. Sadzewicz i... St. Pieńkowski i... W. Dąbrowski przemieniali się w magów narodowych, którym jedynie było wiadomo, co polskie, co nie polskie. Odkryto, że polskość nierozerwalnie związana jest z katolicyzmem, a jak w Rzymie nieomylnym jest w sprawach kościoła papież, tak w Polsce w sprawie polskości narodowo-demokratyczni dziennikarze.

Rzecz jasna, że gdy szło o zadania tak ogólnikowe, jak utrzymywanie czystości kultury polskiej, zbędna była wszelka organizacya partyjna. Należało wywierać wpływy na inteligencyę, jako na ognisko świadomości narodowej, kształtować ją. Akcya narodowej demokracyi zwraca się w kierunku wychowania społecznego. Co najwyżej wiąże się w organizacyę młodzież, aby zyskać zwolenników i wyznawców kierunku na przyszłość. Albowiem Narodowa Demokracya nazywa się wyraźnie kierunkiem myślenia narodowego, wypiera się miana partyi. Zrozumiałe jest też, że kierunek myślenia, mający tak ogólnikowe cele i cechy, mógł być kierunkiem wszechpolskim, ogarniać wszystkie dzielnice, a raczej uzurpować sobie prawa do wszystkich dzielnic, gdyż z żadną z nich jakimiś specyficznymi węzłami związany nie był.

Lecz nagle przyszły czasy, gdy kierunek przemieniać się począł we wszystkich trzech dzielnicach w stronnictwo polityczne i oto nastaje tragedya ustawicznych sprzeczności, wynikająca z niewspółodpowiedniości ogólnikowych haseł dotychczasowych z otwierającem się obecnie polem działania.

Każde stronnictwo polityczne jest zrzeszeniem ludzi, mających na celu wspólne przeprowadzenie pewnych określonych postulatów społecznych czy politycznych. Kompleks tych postulatów stanowi program działania partyi. Oczywista, że postulaty te muszą być przedewszystkiem ściśle sformułowane, oraz, że za punkt wyjścia wzięte być muszą dane rzeczywiście, konkretne stosunki polityczne, społeczne, ekonomiczne, kulturalne. Ponieważ bieg życia dziejowego wytworzył w każdej z dzielnic naszych stosunki różne, każdy realny, nieutopijny, nie mitologizujący program polityczny stanąć musi na gruncie danej państwowości oraz danych w jej granicach warunków i starać się w miarę możności i konjunktur wywalczyć jak największą liczbę korzyści dla narodowego życia. Stronnictwo narodowo-demokratyczne tego nie chciało rozumieć. Z dawnych czasów, kiedy było tylko kierunkiem niezorganizowanym, pozostała mu ambicya wszechpolskości, którą wobec wszystkich innych polskich partyi się chełpiło. Obecnie też nie chciało zrezygnować z pretensyi ogarnienia jednolitym programem wszystkich ziem polskich.

Lecz potrzeby życia praktycznego i postulaty, niemi wyniesione, na każdym kroku płatały figla. Gdy R. Dmowski stał na gruncie państwowości rosyjskiej, gdy oddźwięków szukał w sentymentach słowiańskich, gdy głosił zjednoczenie Słowiańszczyzny przeciw światowi germańskiemu; równocześnie narodowi demokraci w Wiedniu, odziedziczywszy po konserwatystach prezydyum Koła Polskiego, wzięli po nich też spadek polityczny i z Niemcami stanąć musieli w większości rządowej przeciwko braciom Słowianom. Gdy posłowie narodowo-demokratyczni w Wiedniu faktycznie stali na gruncie państwowości austryackiej, ba nawet w wiernopoddańczości swojej często zakrawali na Tyrolczyków Wschodu, równocześnie przybłąkiwał się tu i ówdzie do ich galicyjskiego organu jakiś artykuł, pachnący aż zdradą stanu, oczywiście na rzecz zaprzyjaźnionego mocarstwa, z którem gdzieindziej narodowi-demokraci kokietowali. Gdy w Poznańskiem uprawiali radykalizm polityczny, w Królestwie schodzili aż do ugody. Wszystko to były konsekwencye owej usiłowanej »wszechpolskości« politycznego stronnictwa.

Nie lepiej od zewnętrznej przedstawiać się musiała i wewnętrzna polityka stronnictwa. Partya, biorąca udział w życiu parlamentarnem, powołana tam jest do obrony interesów społecznych i gospodarczych narodu. Lecz tu znowu sprowadziła narodową demo-

kracyę na bezdroża dawna ich koncepcya narodu, pochodząca z czasów pierwszej i drugiej fazy rozwoju.

Naród, jako jedność niezróżnicowana ujmowany być może wtenczas, gdy idzie o stosunek jego do innych grup narodowych, gdy idzie o zdobycie dlań praw, wszystkich jednostek zarówno dotyczących, słowem, gdy idzie o zapewnienie swobody rozwoju całości narodowego życia. Gdy jednak ujmujemy naród sam w sobie ze względu na jego życie wewnętrzne, otrzymamy społeczeństwo, podzielone na szereg grup społecznych, z których każda ma własne interesy, często wzajem się wykluczające.

Toteż narodowi demokraci, intuitywnie wyczuwając swoje słabe strony, sztucznie wysuwali na pierwszy plan walkę polityczną, narodowościową, z pominięciem spraw gospodarczych; zwracali front narodowy w Galicyi przeciwko Rusinom, bronili im wszelkiego rozszerzenia praw, stanowili zasadniczą opozycyę. Gdy zaś o szło interesy warstw, które łączą, do jednej, wspólnej walki zaprzęgają Polaków z Rusinami, wtedy stawali cichaczem po stronie konserwatystów, agraryuszy, na szkodę miejskiego czy wiejskiego proletaryatu, na szkodę milionów, własną pracą z trudem się żywiących. Głosiciele jedności narodowej musieli aż okłamywać swoich czytelników, pisząc dla miast, że wyjednali dla stolic galicyjskich mięso argentyńskie, dla wsi zaś, że głosowali przeciw dopuszczeniu. Jedyni obrońcy narodu dopomagali do wyzyskiwania olbrzymich mas narodowych przez nieliczne garstki agraryuszy i kapitalistów, a wyklinali od polskości polskich socyalistów, którzy walczyli o prawa tej »siły narodu«.

Nie chcę mnożyć dalej szczegółów. Pragnieniem mojem było tylko wskazać, że nie w ludziach, lecz w samej ideologii były powody upadku Narodowej Demokracyi. Sądzę zaś, że doświadczenie, któreśmy z nią przebyli, nie będzie dla naszego życia politycznego bezowocne. Pouczy nas, że illuzoryczny jest wszelki jednolity program polityczny, mający mieć znaczenie realne, któryby ogarnąć zamierzał w dzisiejszych warunkach wszystkie ziemie polskie; powtóre zaś, że program, ogarniający wrzekomo cały naród, bez względu na kasty, jest tylko zwykłą szarlataneryą polityczną, od której nasze życie publiczne winniśmy jak najprędzej uwolnić. Musimy raz już rozstrzygnąć: czy za naród uważamy tych kilka tysięcy szczęśliwych posiadających, czy miliony wyzyskiwanych nędzarzy.



M. DĄBROWSKI.

# OBRAZKI Z BELGII.

*Ignacemu Daszyńskiemu.*

Bruksela 29. czerwca.

W olbrzymiej sali cyrku królewskiego odbywa się mityng, zwołany przez zjednoczoną, liberalno-socyalistyczną opozycyę. Kilka tysięcy osób wysłuchuje mów, uchwala rezolucye przeciwko reakcyjnemu rządowi, co krajowi całemu chce kaganiec klerykalny nałożyć. Kaganiec — na świeże usta dziecinne, ciemne, obrzydłe szkła — na oczy dziecinnie, ufnie patrzące...

Przeciwko reakcyi stanął zwarty blok opozycyjny. Osiwiały twórca ruchu ludowego, dziś honorowy hetman liberałów belgijskich, Paweł Janson, podaje bratnią dłoń staremu socyaliście Hektorowi Denis; parlamentarny trybun, przebiegły dyplomata Hymans, liberał, odkrywa karty zakulisowej gry niemniej przebiegłemu dyplomacie otwartej trybuny ludowej — Vanderwelde'mu; przedstawiciel przemysłowej, francuskiej Walonii — Wauters, socyalistyczny poseł z Leodyum, wita liberała Francka z Anwerpii, ociężałego narodowca flamandzkiego; »żelazna głowa« robotniczej Gandawy, współczesny Artwelde-Anseele, w bratnim szeregu staje z francuzem Masson'em, przedstawicielem nadgranicznego prawie Mons.

Konstytucja zagrożona! Wolność ludowa w niebezpieczeństwie. Do szeregu! Do szeregu wszyscy, przeciwko reakcyi, przeciwko klerykalnemu zamachowi na szkolnictwo — nadzieję przyszłości.

»Po trupach naszych przejdzie to prawo Scholaerta. Słyszycie. Słuchaj, ty, ludu roboczy, słuchaj, ty burżuazyo! Składamy Wam przysięgę święta, my, posłowie klasy robotniczej w parlamencie belgijskim«, woła piorunowym głosem Vanderwelde.

Zamarły dłonie, do oklasków złożone. Zastygły na ustach okrzyki gorące...

Nad tłumem przeleciał anioł śmierci.

* * *

Wielkie słowa padły. Rzucono posiew okrutny. Kto przewidzi, kto odgadnie, gdzie, w jakim kraju, ziarno straszliwe krwawym plonem wzejdzie?

Niecały miesiąc przeminął. Rząd Scholaerta dawno obalony.

W zapadłym kącie Galicyi, w czas wyborów, nieprzewidzianie, nawet zgoła »niechcący«, wziął daninę swą przesmutny anioł śmierci.

Oh, tak, tam w Drohobyczu konstytucya zagrożona była, wolnością ludową hyeny kramarzyły, spełniano gwałt największy, jaki znają dzieje — gwałt nad sumieniem nie jednostki, lecz tłumów.

Przekleństwo życia musiał okupić tłum przekleństwem śmierci.

Stało się.

* * *

Ze wszystkich krajów Europy i świata całego, Belgia jest krajem najwięcej europejskim.

Tak, to prawda, to straszna, okrutna prawda.

Myśmy byli tarczą Europy, jej ciałem, o które rozbijało się barbarzyństwo Wschodu — oni, Belgowie, oni sercem, duchem, myślą tej Europy byli i są.

Ich historya narodowa jest najbardziej europejską ze wszystkich historyi, bo tworzył historję tę człowiek pracy: chłop flamandzki, mieszczuch-rzemieślnik, kupiec flamandzko-waloński, robotnik leodyjski, górnik z Borinage...

Szlachta belgijska raz jeden tylko zawiązała konfederacyę *des queux* — Żebraków, a za hasło swe okrzyknęła policzkujący Filipa II. zew: Raczej Turcy niż Papiści.

* * *

U nas ludzi, którzy roboczej klasie życie swe i talenty w ofierze niosą, odsądza się od polskości, od patryotyzmu, od cywilizacyi i kultury.

Ot, bo u nas historyę narodową tworzył zdawna ksiądz katolicki, największy kosmopolita dziejów i sprzedajny magnat polski, wsławiony konfederacyami, z których większość na miano Targowicy zasługuje.

* * *

Jakby na urągowisko wszelkim symbolom, nasze drzewo wolności, zasadzone w dniu Konstytucyi 3-go Maja na plantach krakowskich, rozrosło się bujnie i okazale, gdy belgijskie drzewo wolności w Brukseli ścięto przed kilkunastu laty. Schło i marniało.

W kraju tym drzewa wolności schnąć już mogą, bo lud roboczy na manifestacyach majowych na czoło pochodu godło narodu całego — lwa w złotem polu wysuwa, świadectwo dając niespożytej sile owego hasła narodowego:

*Flandre au lion!*

* * *

My, w rewolucyjnej Warszawie baliśmy się splamić czerwonego sztandaru symbolem orła białego — a do dziś dnia »kwiat młodzieży narodowej« drepce w dreptaku przed kapliczką-ruiną w ogrodzie Botanicznym.

* * *

Jest w Polsce dzisiejszej człowiek o duszy belgijskiej, człowiek, praktyką życiową równy Anseele'mu, teoryą i talentem — Vanderweldemu. Człowiekiem tym Ignacy Daszyński.

On jeden zrozumiał to wielkie przykazanie Dantona: Rewolucya społeczna, o ile zwyciężyć ma, musi być narodową; on jeden na robotniczych zgromadzeniach Międzynarodówki o Niepodległej Polsce mówi; on jeden przed sąd parlamentów Europy pozywa katów narodu naszego.

* * *

O, jakże cię pomnę, ty okrzyczany kosmopolito, ty, co ojczyzny-Polski nie masz, ty wrogu Polski, gdyś na zgromadzeniu w Krakowie swym cudnym głosem proroctwo rzucał:

»Jest w dziejach naszych przedziwny sztandar, kosynierów krakowskich sztandar. A na nim napis: »Żywią i bronią!« tam gdzie chłopskie kosy na krzyż złożone. I powieje kiedyś nad Polską całą ten sztandar proroczy.

Po latach wielu lud krakowski w ręce twe, wodzu, sztandar swój złożył. Chorążym bądź wolności i sprawiedliwości. Bo oto historyę narodową w Polsce zaczyna lud roboczy pisać.

---

JAN LIPSZYC.

# POEZYE.

## *PAMIĘCI OSKARA WILDE'A.*

*Z brawurową beztroską światowca-poety*
*I pogodnem w bezwstydzie rozkoszy obliczem*
*Brnąc w męty wyuzdania, niestrwożony niczem,*
*Czułym nerwom trujące zaszczepiał podniety.*

*Objawione w symbolu węża i kobiety*
*Piękno grzechu okupić chciał awanturniczem*
*Życiem śmiałka, za widmem tęskniąc tajemniczem*
*Chimery ideału, pod maską estety.*

*Padł ofiarą matactwa chorej wyobraźni*
*I ludzkiej, nizkiej złości aż na dno otchłani,*
*Gdzie z Cieniem Chrystusowym dumał w mroku kaźni...*

*Omijając bezpiecznych cnót gościniec bity,*
*Jaśniał, mimo, iż nie mógł znieść świętości taniej,*
*Alabastrowej wazie podobny rozbitej.*

## *NIEDOMÓWIENIA.*

*Jest bicie serca w rytmie mego wiersza
Z nasłuchiwania przy zamkniętych drzwiach,
Gdzie szeptem mówi poufnym najszczersza
Trójca żywota: boleść, wstyd i strach.*

*Na manowce mnie zwiodły ręce boże,
Złorzecząc idę — dokąd? nie wiem sam,
Niemoc jest w buncie i niemoc w pokorze,
A więc naprzemian miotam się i łkam.*

*Grzechy są męką i żalem a cnoty
Zbędne, gdy słychać jeno kajdan brzęk —
Oczy mgłą zaszły, jak szyby wśród słoty,
Słuch łowi krzywdy bezimiennej jęk.*

*Jest po zniżonej cenie dziś wysprzedaż
Starych zabawek: kto da więcej, kto?
To kpiny, bracie... Mam — choć nic mi nie dasz —
Zysk zapewniony z góry brudną łzą.*

*Kupiłem litość twoją, choć nią gardzę,
Do snu powieki mi klei jej dłoń,
Więc śpijmy, ulgę czując w śmiesznej skardze,
Żeśmy do walki wzięli tępą broń.*

*Znów „nie tak ciężkie, by go znieść nie można
Jest życie“ mówi w jednym wierszu Staff,
Stąd nawet nie wie moja myśl bezbożna,
Jakich dla siebie ma dochodzić praw.*

*Mych marzeń biały gołąb znikł mi z oczu,
Wiatr zwiał mu z dzióba z dobrą wieścią list
I już go kędyś w śmigłych chmur otoczu,
Nie dojdzie moich nawoływań świst.*



JAN KLECZYŃSKI.

# JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY).

Wandzia, starsza o dwa lata od Julka, uśmiechnęła się z dobrocią i pogłaskała go po ręku.

— Jesteś jeszcze bardzo młody — mówiła łagodnie — zielony — dodała ze śmiechem. — Jeszcze się zakochasz, nie bój się. Tylko nie zrób tak jak ja — i strzeż się kokietek — tacy jak ty, stworzeni są na to, żeby się dać wodzić za nos.

— Dlaczego?

— Bo żyjesz tylko wyobraźnią — masz dość słabą wolę... Teraz także — wciągnęli cię, a tyś poszedł sam, nie wiesz po co.

— Co do tego, to się dokumentnie mylisz, odparł Julek z urazą. To już, wybacz, jest zupełnie babski sposób pojmowania rzeczy. Może być, że mam słabą wolę, ale, mogę dać ci słowo, że w tym wypadku nie masz ani cienia słuszności. Wogóle nie znasz tych spraw i nie możesz o nich mówić.

Julek płonął, wzburzony do głębi duszy. Drżał cały. Każde słowo uwłaczające jego czynowi budziło mu na dnie duszy wściekłość. To było coś tak bezwzględnie świętego, że nie miał żadnych wątpliwości. W tem była jego prawda nienaruszalna, jego duma — to był on sam. Stwierdzał to teraz z tem większą radością, bo ze słów siostry wywnioskował, że jeżeli myliła się tak zasadniczo w jednej rzeczy, to oczywiście myliła się też w drugiej i trzeciej — a więc i w tem, że się tylko „durzył" i że ma słabą wolę i t. d. Wniosek był zupełnie dowolny — ale jakże miły. Uwierzył weń też odrazu.

Wandzi widocznie chciało się śmiać.

— Kobieta — pomyślał, widząc to, Julek z litosną pogardą. — Kobieta przecież tego nie zrozumie.

Zawsze tylko ta pierwsza z brzegu logika — zależność od cudzej roli — nawet nie przypuszcza w człowieku samodzielności.

— Ach, żebyś ty wiedział, Julku, jak ja ciebie doskonale znam!

Julek uśmiechnął się z ironią pełną dobrotliwej wyższości.

— Siebie trudno poznać, a cóż dopiero innych.

— Strasznie jeszcze jesteś młody. Skoro pocierpisz, poznasz życie.

— Sądzisz, że mi tak bardzo rozkosznie żyć? — Szczególniej teraz?

— Sameś sobie winien. Po cóż było się w to mięszać? po co?

— Nie o tem mówię — warknął Julek. — Wiesz dobrze, że nie o tem. I wiedz raz na zawsze, że choć to uważasz za drobiazg, o którym nie warto mówić, to jest jedyna — tak niestety, jedyna rzecz, w której poznałem samego siebie, — jedyna, której dokonałem z głębi duszy.

Julek słuchał siebie samego ze zdumieniem. Czuł nieznaną mu dotychczas rozkosz z tego upokarzającego wyznania, w którem przemówiło coś, co było w nim nietykalne — takie inne, niż on cały.

Ale wnet przestraszył się swojej szczerości. Jeżeli ona tego nie odczuje...

Spojrzał na Wandzię z rozbłysłemi jeszcze oczyma, pełnemi niepokoju. Siostra spoważniała.

— Nowe pokolenie straceńców — szepnęła cicho.

Ta widoczna przesada rozradowała Julka. A więc ona jednak coś rozumie.

— No, no, — rzekł wesoło — daleko mi jeszcze do tego.

Pocałował ją w rękę kilkakrotnie.

— To jest poprostu tak — mówił, jak do dziecka. — My nie możemy żyć, widząc wokoło gnuśność, podłość i głupotę. Musimy budzić społeczeństwo, bo inaczej nie moglibyśmy żyć — musimy im przypominać, że są tacy, którzy żyją innem życiem, dążą do pełni, do całkowitego wyrazu samych siebie — opierają się na pracy własnej, nie na wyzysku i krzywdzie — są natury, które nie mogą się patrzeć spokojnie, jak innych dręczą, zarzynają — wszystko jedno czem — kapitałem, czy nahajką — my nienawidzimy tej burżuazyjnej słodkawości, sentymentalizmu, obojętności, deprawacyi moralnej.

Umilkł nagle.

My?

Ogarnął go straszny niepokój.

On tego nienawidzi?

Pot mu wystąpił na czoło.

Prawie że wiedział już, o co chodziło głębi jego duszy — ale nie śmiał jeszcze tego sformułować.

— Otóż to — podchwyciła siostra — nienawiść. Nienawiścią niczego nie zbudujecie. — Pamiętasz — „Nieboską"?

Julek roześmiał się ze złością.

— Chrystus wyganiał handlujących z kościoła batami — a zresztą „dość mam już tej mitologii greckiej i żydowskiej" — jak mówił Schopenhauer. My tworzymy nowe życie.

Powiedział to „my" jeszcze z resztką niepokoju, ale już unosiła go duma. Zrozumiał w kuryerkowo proboszczowskiem zastosowaniu idei „Nieboskiej" wpływy c. i k. profesora Tarnowskiego, którego wykładów Wandzia słuchała w Krakowie.

Uczuł w sobie pewność, że intelektualnie przynajmniej do „nich" należy, a zresztą może te zwątpienia to tylko ze zdenerwowania — może to tylko chwile osłabienia energii.

I nagle przypomniała mu się Jadzia — jak żywa, z purpurą jej słodkich warg, z zielono złotemi oczami i wicherkami czarnej grzywki nad białem czołem — ach, ona to wszystko rozumiała — ona ma życie, temperament, lot wyobraźni — ach ona — już nie jego.

Wstał, żeby ukryć wzruszenie i otrzeć łzy.

— Co ci się stało Julku?

— Nic — odparł z wysiłkiem.

Oparł się o ścianę i milczał.

Smagał go bezlitosny ból, w którym tyle było rozkosznej, odurzającej tęsknoty.

— Za kogo Jadzia wychodzi? — zapytał szorstko.

— Wandzia uśmiechnęła się nieznacznie.

— Za Tarowskiego — bardzo zdolny człowiek — porządny, uczciwy, energiczny. Podobno jeszcze bardzo „czerwony“, ale to minie.

— „Bardzo czerwony, ale to minie“ — paradna jesteś w swoich poglądach.

— I u ciebie minie — zobaczysz.

Julek roześmiał się sucho.

Tak, to ten sam piękny, smutny, wytrwały — nie żaden drań — przepadło.

Nagle przypomniał sobie, że gdy jeszcze o nim nie wiedział, coś mu szeptało, że litera „T“ przyniesie mu nieszczęście. Nawet pomyślał wtedy, że to pierwsza zgłoska „Ta“.

— Głupi jestem — mruknął — jakieś zabobony.

— Kiedy ślub?

— W październiku. Ona podobno nie bardzo go kocha, ale ostatecznie dlaczego by nie miała za niego wyjść? On ją tak uwielbia.

„Ona niebardzo go kocha“ powtórzył cicho Julek i w serce zakłuła go jakaś myśl idyotyczna, a cudna. — Teraz mamy dopiero sierpień.

Czy oni mieszkają tam gdzie dawniej? spytał niezmiernie obojętnym tonem.

Wandzia znów się uśmiechnęła.

— Nie zabijaj go — proszę cię — rzekła błagalnie.

— Nie bój się o to — rzekł Julek, tamując złość. — Waryatem nie jestem — dodał dla pokazania, że jednak to byłoby możliwe.

— Ale pojedziesz tam?

— Wiesz, że mam być w Skibówce. Stamtąd niebardzo daleko — ale nie pojadę.

Wandzia nagle posmutniała. Nastała cisza. Wkrótce potem powiedzieli sobie dobranoc i Julek został sam.

Z jękiem rzucił się na łóżko.

Wszystko, co przeczuwał złego, sprawdziło się. A kiedy tylko wydawało mu się, że przeczuwa coś pomyślnego, to nigdy mu się nie sprawdziło.

Tamten na nią patrzy teraz, całuje ją — ach, co za ból. Julek łkał bez łez.

Ona jest stworzona dla niego. Ona taka wesoła, on smutny — dobraliby się. A zresztą on wcale nie jest taki smutny, o, z nią byłby bardzo wesoły. Gdyby tylko miał jakieś stanowisko, pieniądze, oświadczyłby się jej, miałby prawo jej powiedzieć, że ją kocha, a tak co? Co za głupie urządzenie świata. Wszystko to zniknie w nowym ustroju — kiedyś — ale jego ani Jadzi już nie będzie na świecie. Pewny był, żeby Jadzia z nim była szczęśliwa — a czyż może jej być tak z tym, którego niebardzo kocha?“ Zresztą możeby Julek i tak powiedział Jadzi, że ją kocha, nie uważałby na nic, ale ona bądź co bądź, była panną na wydaniu, „wyszłaby przecież tylko za człowieka z pozycyą“ i musiałaby się już na śmi.rć w Julku zakochać, żeby z nim nędzę cierpieć. Innej powiedziałby to — jej nie.

Ale on ją właśnie kocha, nie inną.

A może jednak chciałby, żeby była inną?

Głupie myśli. Ostatecznie różniła się bardzo od wszystkich panien na wydaniu. Nie wypowiedział jej nigdy swoich uczuć, bo... był niczem.

Ogarnęła go rozpacz, zerwał się.

W pokoju tak jasno... Coś trzeba zrobić ze sobą. Rozbić głowę o piec? — nie... gdybyż umrzeć, umrzeć natychmiast. — Ta lampa okropna.

Zgasił ją. Nie mógł znieść samego siebie. Uciec musi gdzieś.., Zerwał z łóżka kołdrę, położył się, nakrył nią głowę, przywalił to jeszcze poduszką i zwinięty w kłębek, wciskał się w materac — chciałby wleść w taki kąt, gdzieby nic nie istniało — nic, tylko noc — gdzieby myśli zagasły.

Ale wkrótce uczuł, że się dusi, zrzucił to wszystko z siebie, wstał i otworzył okno.

Gwiazdy lśniły nad dachami. Było ciepło. Skądciś od Wisły szły świeże powiewy. Julkowi łzy pociekły z oczu.

Ona teraz siedzi z nim w ogrodzie; on jest szczęśliwy, bełkocze poprostu, bo nie może mówić. Oszalał ze szczęścia. Do nóg jej pada, ona gniewa się o to, a potem się całują.

Czy warto żyć jeszcze?

(C. d. n.)



HENRYK MAURER.

# „PIĄTY“ CHÓR „LILLI WENEDY“.

(Dokończenie.).

Takie postawienie kwestyi łączności tych dwóch utworów, popiera ją — jak mniemam — dużo lepiej, niż powoływanie się na pierwotny, w dodatku bardzo wątpliwy, a w każdym razie nieziszczony zamiar Poety: uczynienia z „Grobu Agamemnona“ prologu do „Lilli Wenedy“. Zwłaszcza, że i rozumowanie p. Sinki, usiłujące rozgrzeszyć „harfiarza Wenedów“ z wygłoszenia przed „druidyczną z głazów grotą“ tego „prologu“ trzeba uznać za błędne. P. Sinko mówi: „Wenedzi zginęli wszscy. Więc on miał (poetyczne) prawo rzucić Polsce policzek, dlaczego w niej „zawsze po dniach nieszczęśliwych — zostaje smutne pół rycerzy żywych“. Otóż to twierdzenie właśnie, że „Wenedzi zginęli wszyscy“, w takim duchu pojęte, jak je wypowiedział p. Sinko, t. j. jako zgon Wenedów, równy śmierci trzystu Spartan pod Termopilami i uprawniający tego, kto się nań powołuje, do rzucenia Polsce „policzka: dlaczego w niej“ i t. d. — to twierdzenie jest z gruntu błędne. Bo Wenedzi w trage-

dyi, zestawionej z tą częścią „Grobu Agamemnona“, która w niej każe widzieć symbol naszych „dni nieszczęśliwych“, wcale nie giną wszyscy. T. zn nie giną wszyscy tak, jak Spartanie pod Termopilami, lecz tak, jak zginęliśmy my w r. 1831. Bój Wenedów — to nie Termopile, lecz Cheroneja; mogiła Wenedów — to nie mogiła garstki Spartan z Leonidasem, ale nasza. W ostatniej walce Wenedów z Lechitami tylko „pół“ legło śmiercią walecznych, a drugie „pół“ to właśnie owo „smutne pół rycerzy żywych“ ...trupów — niewolników; to te naszych około 50 tysięcy pod Ramorinem, Różyckim i Rybińskim, które złożyły broń na granicy austryackiej i pruskiej (M. Mochnacki: „Powstanie narodu Polskiego“. Berlin — Poznań 1863. T. I. 86.). Zrozumie to p. Sinko, jeżeli sobie przypomni choćby tylko liczbę Wenedów, walczących w ostatnim boju z Lechem, a następnie wizyę tego boju przed nim samym w opowiadaniu Rozy i słowa Lecha o zachowaniu się Wenedów pod koniec walki.

Wszystkiego wojska Wenedów w ostatniem starciu było równe dwanaście tysięcy (po tysiącu zapewne z każdej z „dwunastu krain“, na jakie się ziemia Wenedów rozpadła), każdy z własnym wodzem na czele (por. akt. IV., sceny 4 i 3.). Z tych dwunastu tysięcy padło z bronią w ręku tylko sześć, pozostali zaś broń złożyli, co ostatnie Poeta wyraża symbolicznie przez usta naprzód Rozy, a potem Lecha. Roza ma wizyę boju w jego przeddzień. Kiedy warzyła na pobojowisku kości poległych w pierwszej walce rycerzy, „nagle“ — opowiada harfiarzom w aktu IV. scenie czwartej —

> Widmo straszne wyszło z ognia do mnie
> I zawiodło mnie na walkę duchów.
> Słuchajcie!
> Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
> Oczy nagle jako trup zawarła,
> Spadła na nią iskra piorunowa;
> I ta głowa smętna, już umarła,
> Jęła smutnie mówić z drugą żywą,
> Aż skry zjadły jak smolne łuczywo
> Rozpłakaną tułowu koronę.
> I spojrzałam w drugą walki stronę,
> Odwróciwszy się jak od gasnącej głowni,
> Od półmartwej osoby.
> I tam stali ludzie w szyku równi,
> Równi, zimni, biali jako groby,
> Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
> Czasem walił piorun i miecz razem.
> Wtem ktoś cicho wykrzyknął: giniemy:
> **I tysięcy sześć... nietkniętych żelazem...**
> **Sześć tysięcy bez ducha upadło...**
> Jakby je kto struł...

To samo całkiem stwierdza Lech, już po skończonym boju, w słowach zwróconych do Gwinony (scena 6. aktu V.):

> Zupełnie ducha stracili ci ludzie.
> Stracili ducha o samej północy
> I odtąd rąbią ich nasi jak trzodę.

„Ci ludzie“, co „stracili ducha o samej północy“ — czyż to nie my, którzyśmy we wrześniu i październiku 1831, w połowie przeszło tej liczby, jaka wzięła udział w powstaniu, poddali się Austryakom i Prusakom? I czy to nie nas rąbali „odtąd“ nasi „Lechici“, wrogowie nasi, „jak trzodę“ — no i rąbią?...

Niewątpliwie zatem ostatni bój Wenedów — ze stanowiska pytania z „Grobu Agamemnona“: „Wielu was było“ (sc. takich „krwawych“ jak nieśmiertelny hufiec Leonidasa)? — to symboliczny obraz naszego powstania listopadowego z kilku zwycięstwami wprawdzie i z wielu tysiącami poległych, ale także z kapitulacyą Warszawy i rozbrojeniem się dobrowolnem tyluż tysięcy po walce pod Borowem tudzież opodal Zatora i Brodnicy. (Więc jeśli kogo korci brak drugiej części „Trylogii“, rozpoczętej w „Kordyanie“ „spiskiem koronacyjnym“ z r. 1828, to niech jej poszuka w „Lilli Wenedzie“, a znajdzie ją tam na pewne. Co więcej — wpatrzywszy się w nią głębiej i uważniej, przekona się nawet, że Roza i Polelum, Lilla i Lelum, a nawet Derwid — to nikt inny tylko dobry jego znajomy ze „spisku koronacyjnego“ — „Podchorąży“.).

Lecz skoro walka Wenedów z Lechitami w stosunku do części „Grobu Agamemnona“ o Termopilach przedstawia naszą walkę z r. 1831, za którą właśnie ta „o bliższem nieszczęściu piosenka“ miota na nas pioruny, to natchniony „harfiarz Wenedów“, rozstrajając zwolna swą fantastyczną lutnię, którą dotąd opiewał ostatni bój „ludu umarłych“ z ludem „żywych“ tylko dla Krasińskiego, — rozstrajając tę „niemą“ dla innych słuchaczów lutnię, aby ją przeobrazić w „lutnię szalonego barda“, dla tych innych „słuchaczów głuchych“ jedynie wymowną i zrozumiałą — to Słowacki nie mógłby się był i nie może się powoływać w „Grobie Agamemnona“ na zgon Wenedów. Nie potrzebuje zresztą. Staje tam przecież myślą najwyraźniej nad „mogiłą termopilską“. Od tej mogiły zaś — jego, jako syna „kraju smutnego Ilotów“, miał wszelkie prawo „odgonić“ „legion umarłych Spartanów“; z tej mogiły zmartwychpowstali „męże“, „pokazawszy mu swe piersi krwawe“, mogli z pełną słusznością uderzyć w nim cały naród polski policzkującem zapytaniem: „Wielu was było“ — takich „krwawych“, takich trzystu wśród trzystu!?

* * *

Oczywiście możnaby na temat ścisłej łączności „Grobu Agamemnona“ z „Lillą Wenedą“ napisać dużo więcej. Mnie jednak tutaj chodziło głównie tylko o podparcie żądania dr. Sinki, aby „Grób Agamemnona“ ogłaszany był razem z „Lillą Wenedą“ — o ile mianowicie to żądanie podparcia tego wymaga i na nie zasługuje.

Rzecz prosta, że ścisłą łączność „Grobu“ z „Lillą Wenedą“ powinnoby się uwzględniać również przy wystawianiu tej tragedyi na scenie. I można sobie wyobrazić, jak potężne wrażenie wynosilibyśmy z teatru po takiem przedstawieniu. Ostatnia scena „Lilli Wenedy“ rozegrałaby się wtedy w „Grobie Agamemnona“, t. zn. w „druidycznej z głazów wielkich grocie“, w której aktor w masce „harfiarza Wenedów“ czyli samego Poety wygłosiłby ten „ostatni chór“ tragedyi, wyjaśniający jej ścisły związek z nami, z naszą dolą. I stałoby się wówczas w daleko wyższym, niż kiedyindziej, stopniu — bo poprzez nerwy, wstrząśnięte już widokiem losu naszych widm poetycznych, Wenedów — iż tak, jak chciał Słowacki, ta jego pieśń, „ponura“, „głucha“, przeleciałaby ponad nami, „jak dzwon żałosny brzmiąc w krainach ducha“.






J. SZCZYREK.

# KOOPERACYA SPOŻYWCZA.

## I.

Każdy człowiek spożywa i zużytkowywa setki przedmiotów, wytworzonych przez ludzi obcych, na których kupujący nie ma żadnego wpływu, sposób wytwarzania tych przedmiotów nie podlega zupełnie kontroli nabywcy, kupiec dyktuje ceny, popełnia najwstrętniejsze szalbierstwa handlowe, wobec których spożywca jest zupełnie bezsilny. Towar nabywany przez konsumenta odbywa długą drogę pośrednictwa handlowego zanim od producenta dostanie się w ręce spożywcy, a w tej drodze narasta jego cena, mimo że istotna wartość z pewnością się nie podnosi.

Zorganizować spożywców, ująć zapotrzebowanie tych olbrzymich mas w należyte formy gospodarcze, stworzyć własne instytucye pośrednictwa handlowego, które po zszeregowaniu w swym łonie wielkich zastępów konsumentów, przeszłyby do własnej produkcyi, oto zadania kooperacyi spożywczej. Spożywca odosobniony jest niczem, zorganizowany staje się potęgą, ponieważ konsumcya jest niemal całą treścią życia większości społeczeństw.

Powstają różne zrzeszenia, wspólność interesów i celów łączy nas w potężne związki, tylko współdzielczość spożywcza leży u nas odłogiem. Z podziwem patrzymy na olbrzymy kooperatystyczne zachodniej Europy, z niedowierzaniem czytamy miliardowe cyfry, dające dokładny obraz wielkości tego ruchu, jednak u siebie nie potrafiliśmy nawet pójść śladami wielkich wzorów zachodnich.

U nas zakładać stowarzyszenia spożywcze to znaczy być poziomym materyalistą, nie umiejącym żyć pełnem złożonem życiem, być organizatorem instytucyi gospodarczej, to znaczy być nieczułym na wszystkie najdrobniejsze przejawy intelektualnego życia w naszem społeczeństwie, od których, zdaniem naszych publicystów i polityków, przyszłość narodu zależy. Pisać o ekonomicznych i gospodarczych zjawiskach, to niemal znaczy marnować czas i atrament, bo czyż nie lepiej i pożyteczniej stworzyć coś pięknego i artystycznego. Poetyzujemy wszystkie dziedziny życia, dlatego nędzarzami jesteśmy w stosunku do innych kulturalnych narodów, przez pryzmat pięknie patrzymy na realne życie, nic też dziwnego, że karykaturalny wygląd mają nasze gospodarcze instytucye.

Książki, któreby dawały bilans gospodarczego życia, któreby propagowały i zachęcały do twórczej realnej pracy są białymi krukami i nie wiele mają czytelników. Nic też dziwnego, że gospodarcze organizacye są zupełnie zapomniane i często najpiękniejsze zamiary i nadludzkie wysiłki łamią się wobec niepokonalnej obojętności otoczenia.

Jesteśmy społeczeństwem biednem i wszelkie programy ekonomicznego odrodzenia go zostaną tylko projektami, dopóki całe społeczeństwo nie wejdzie na drogę ekonomicznej pracy, dopóki nie nauczymy się żyć ekonomicznie, odpowiednio do środków.

Kooperacya jest tą formą gospodarczą, która łączy słabych materyalnie, a potrafi wytworzyć zrzeszoną potęgę społeczną.

Grono ludzi bardzo niezamożnych, którzy zrozumieli, że kupując wspólnie towary, aby je potem między siebie podzielić, nabywają taniej, ci ludzie wprowadzają w najprymitywniejszej formie kooperatystyczną metodę gospodarczą. Gdy ta początkowo może dorywcza forma zakupna utrwali się i rozszerzy na wszystkie potrzebne w codziennem życiu towary, gdy towary te zamiast u grosisty zaczniemy kupować u wytwórcy, a więc pominiemy cały zastęp pośredników i agentów handlowych, to naturalnie będziemy kupować taniej i lepiej.

Do tychsamych wyników dojdziemy, gdy pewna grupa ludzi złoży choćby nieznaczne fundusze na założenie sklepiku, w którym każdy udziałowiec zobowiąże się zakupywać wszystkie potrzebne mu towary. Drobny sklepik współdzielczy, to przedsiębiorstwo maleńkie, zdaje się bez znaczenia, a przecież już on usuwa jednego pośrednika handlowego: sklepikarza; zarządzany przez samych członków daje gwarancye czystości i uczciwości handlowej, a oparty na interesowanych w jego istnieniu członkach, bardzo wydatnie z niego korzystających, ma zorganizowaną klientelę, nie potrzebuje wydawać na kosztowne reklamy i utrzymanie wielkiej administracyi. Zyski uzyskane ze sprzedaży towarów dzieli się między członków w stosunku do poczynionych przez nich zakupów. Część uzyskanych zysków przelewa się do kolektywnego funduszu stowarzyszenia, fundusz ten corocznie rośnie i drobny początkowo sklepik stopniowo, bez ofiarności członków, niemal bez ich wiedzy, automatycznie gromadzi własne kapitały, tak samo jak członkowie kupując w sklepie automatycznie oszczędzają i te oszczędności jako zysk sklepu wrócą z powrotem do konsumenta. Gdy taki sklepik współdzielczy istnieje w każdej osadzie fabrycznej, w każdem mieście, wreszcie przejdzie też na wieś, gdy współwłaścicielami tych sklepików staje się coraz większy procent społeczeństwa, wtedy organizacya współdzielcza wkracza na wyższy stopień struktury gospodarczej, następuje łączenie się handlowe i ideowe tych odosobnionych placówek.

Połączone sklepiki stwarzają wyższą formę organizacyi współdzielczej, związek handlowy dla stowarzyszeń dla wspólnego i hurtownego zakupna towarów. W ten sposób powstają wielkie instytucye współdzielcze, które pośredniczą w zakupnie towarów przez stowarzyszenia wprost od wytwórcy, same utrzymują olbrzymie składy i przy pomyślnym rozwoju przechodzą do własnej produkcyi. Zakładają współdzielcze piekarnie, młyny i inne wielkie

zakłady przemysłowe, a nawet przechodzą do nabywania obszarów ziemskich, aby własne produkty rolne dostarczać swym członkom. Z drobnego sklepiku, a taki był początek ruchu współdzielczego w Anglii, dzięki istotnym warunkom i dzięki wewnętrznej sile rozwojowej, kooperacya spożywcza rozrasta się, gromadzi koło siebie olbrzymie zastępy, z drobnych początkowo funduszów przechodzi w potęgę finansową, od drobnego zakresu działania, sklepikarstwa, przechodzi na rozległe pola własnej produkcyi, buduje własne komunikacye, przewozi towary własnymi okrętami, stwarza zamknięte organizacyjne koło gospodarcze, w którem konsument staje się tem, czem być powinien, staje się panem na rynku handlowym i wytwórczym. Usuwa się przez kooperatystyczną formę gospodarczą pośrednictwo handlowe, z którego żyje poważny procent społeczeństwa a zwracając uzyskane zyski konsumentowi, obniża się jego wydatki życiowe. Z przejściem do kooperatystycznej formy produkcyi konsument bierze udział w zyskach wytwórcy; robotnik-kooperatysta znajduje pracę w przedsiębiorstwie, które jest jego współwłasnością jako zorganizowanego konsumenta, nadto nie jest narażony na ciężkie walki klasowe; konsument nie jest bezbronnym wobec żarłocznej i bezwzględnej zorganizowanej w kartelach produkcyi kapitalistycznej. Szerokie warstwy spożywców stają się właścicielami wielkich instytucyi finansowyeh, które na rynku gospodarczym mogą odgrywać rolę regulatora, nadto w życiu tych najbiedniejszych warstw społecznych są czynnikiem wychowawczym, szkołą życia publicznego, i dają materyalną możność stworzenia wielkich ognisk kultury i oświaty ludowej.

Kooperacya spożywcza w swej rozwiniętej formie wżera się w najistotniejsze tętna życia gospodarczego, może wywrzeć olbrzymi wpływ na ukształtowanie stosunków ekonomicznych, nic też dziwnego, że znalazła zwolenników, którzy jej przepowiadali dominującą rolę w tworzeniu przyszłego ustroju społecznego.

(Dok. nast.)



WŁ. D.

# SMUTNY EPILOG POLSKIEGO BOULANGERA.

Na Starem Mieście, przy wodotrysku,
Pułkownik Trepow dostał po p....

*(Ze starych krakowiaków).*

30. czerwca o godz. 12 w południe obok cukierni Lardellego w Warszawie, przedstawiciel narodowo-demokratycznej młodzieży p. Antoni Ostrowski spoliczkował publicznie na ulicy p. Romana Dmowskiego, wręczywszy mu uprzednio swą kartę wizytową z adresem. Policzek wymierzony był tak silnie, że leaderowi endecyi spadł z głowy kapelusz, wypadła mu z rąk laska. Dmowski podniósł ją i chciał wszcząć burdę uliczną na kije, spostrzegłszy się jednak, że sprawca zniewagi znajduje się w liczniejszem gronie młodzieży, cofnął się i ukrył w redakcyi »Gazety Warszawskiej«. P. Ostrowski przeczekał 24 godzin w swojem mieszkaniu, oczekując świadków p. Dmowskiego, nie doczekawszy się ich jednak, ogłosił w pismach zawiadomienie o całem zajściu z oświadczeniem, że uważa p. Dmowskiego »za człowieka pozbawionego czci, oszczercę i tchórza«. Jednocześnie dwaj upoważnieni przedstawiciele młodzieży udali się do p. Z. Balickiego, drugiego leadera endecyi, i oświadczyli mu, że czynne znieważenie p. Romana Dmowskiego było odruchem całej młodzieży na zdradę narodową jego stronnictwa w sprawie szkolnej.

Z powodu całego zajścia »Słowo Polskie« z podniosłem oburzeniem objawiło światu, że kwitnie u nas etyka bandytyzmu, która przynosi hańbę umysłowości polskiej i obyczajom życia publicznego. »Dawniej czegoś podobnego w Warszawie nie zrobionoby. Ludzie, którzy oddawali się pracy narodowej... poważani byli i chronieni od niebezpieczeństw z zewnątrz, bez względu na różnice w poglądach politycznych«.

Nie jesteśmy zwolennikami burd ulicznych, regulujących pięścią spory zasadnicze i z tego stanowiska całe zajście stanowczo potępiamy. Rozumiemy dobrze, że przy takiem traktowaniu spraw politycznych cynizm, chamstwo i bezczelność będą zawsze górowały, a ucierpieć mogą najniewinniej ludzie szczytnej idei, gorącej wiary i istotnej zasługi publicznej.

Trudno nam się jednak zgodzić na lisio-kłamliwe wywody »Słowa Polskiego«. Dyrektor polityki narowej zginął własną bronią, właściwie sam siebie gruntownie wypoliczkował. To, co go w Warszawie spotkało, wypłynęło logicznie z szerzonej przez niego etyki »nowoczesnego Polaka«. Kult brutalnej pięści, szczepiony konsekwentnie przez lata całe, naprzód teoretycznie, a potem praktycznie, przyjął się bujnie w wychowywanych przez sztab endecki szeregach młodzieży i dziś poraził głowę tego stronnictwa jego własną bronią, apuchtinowskim palącym policzkiem. Za czyją inicyatywą wykonano przed kilkunastu laty »egzekucye narodowe« na wszystkich redaktorach warszawskich pism codziennych, którzy podpisali odezwę przestrzegającą młodzież przed nieoszczędzaniem sił w bezowocnej walce? a był między nimi pisarz rozgłośnej sławy i nieskazitelnego charakteru, który otrzymał policzek zato, że zajmował wtedy stanowisko duchowo-pokrewne temu, jakie Dmowski dziś zajmuje. Kto organizował rzezie bratobójcze i wkładał browningi na własnych braci w ręce robotnicze? Kto wreszcie niedawno znieważył czynnie na dworcu lubelskim Biernackiego, przewódcę miejscowych postępowców, człowieka wielkich zasług społecznych, jak nie Malewski, poseł endecki do Dumy, wychowaniec i uczeń Dmowskiego? Kto wicher sieje, burzę zbiera. Ten kto policzkował ugodowców i postępowców, mordował z za węgła socyalistów i niecne swoje w tym kierunku

usługi Rządowi moskiewskiemu ofiarowywał, nic dziwnego, że sam spoliczkowanym został... za zdradę, za krew, za mącenia kadzi narodowej.

Karyera Dmowskiego zkończona. Nie wypłynie on już więcej na arenę życia politycznego, jako »gospodarz kraju« i »mąż opatrznościowy«. Ale zdeptał go i unicestwił nie policzek wymierzony mu na placu obok Lardellego, lecz jego własne enuncyacye z tego powodu, dyskredytujące go ostatecznie i ośmieszające go niepowrotnie.

»Dziś, wychodząc ze swego domu, pisze p. Dmowski w swojej »Gazecie Warszawskiej«, stałem się przedmiotem napaści ulicznej. Jakiś młodzieniec zaszedł mi (sic!)*) z tyłu i uderzywszy mię, zaczął uciekać. Puściłem się za nim w pogoń, ale okazał się tak szybkim w nogach, że dogonić go nie mogłem. Prawdopodobnie winszuje on sobie pomyślnej ucieczki i niezawodnie ma czego, bo gdybym go był dopędził, odeszłaby mu na zawsze ochota do napadów tego rodzaju...« Niech niewiadomi mają trochę odwagi i »niech który z nich stanie ze mną oko w oko! Gotów jestem służyć na wszelkiem polu i na wszelką prowokacyę...« »Bardzo mię martwi, że napad był znienacka i że napastnik tak szybko zmykał. Jestem zwolennikiem fizycznego załatwiania takich spraw na miejscu i żal mi, żem tego nie mógł zrobić. Gdybym go był dopadł na miejscu, możeby dziś nie chodził po świecie człowiek, którby mógł się chwalić, że mię ręką swą dotknął....«

Pomijam piorunująco humorystyczny efekt tej srogiej ajaksowej enuncyacyi, której przeczą najoczywistsze fakty oraz opublikowane oświadczenia tych, co byli obecni przy zajściu. Ta arcyśmieszna poza zdaje się w zupełności odpowiadać usposobieniu, wychowaniu i całej dotychczasowej karyerze rozpanoszonego łyka z Pelcowizny, przedpokojowego przyjaciela bar. Kodamy i hr. Witte. Ale chodzi tu o coś więcej. Enuncyacye leadera najpotężniejszego w kraju stronnictwa, faktycznej głowy polityki polskiej w Petersburgu, nazajutrz po jego czynnem publicznem znieważeniu, sprowadzają się do dwóch punktów:

1) po roztropnem, godnem raczej mądrego Ullissa, niż wrącego Ajaksa, wycofaniu się w porządku z placu, komunikuje nam oficyalnie, co byłby właściwie zrobił z przeciwnikiem po dostaniu go w ręce;

2) po otrzymaniu biletu wizytowego na miejscu improwizowanej egzekucyi i po upłynięciu przyjętych zwyczajowo 24 godzin oświadcza on nam swą chętną gotowość do wszelkiego rodzaju zbrojnych rozpraw honorowych, świat cały rycersko wyzywając w szranki. Dowiadujemy się, że gdyby p. Dmowski dopadł swego przeciwnika, toby go wykreślił z liczby żyjących, dowiadujemy się zarazem, że gotów on jest bohatersko stawić czoło w walnej rozprawie honorowej wszelką bronią od scyzoryka i browninga aż do oblężniczej armaty.

Nader przyjemnie jest nam, Polakom dowiedzieć się, że mamy takich wszechstronnych hyperpotentów. P. Roman Dmowski, jeżeli nie organizacyjnie i faktycznie, to przynajmniej fizycznie, krzepkością swoich stalowych niezłomnych muskułów, jak mityczny Atlas potrafi podtrzymać walący się gdzieś w odmęty zaświatów zmurszały glob narodowej demokracyi — dzika panika ogarnie wtedy nienawistne, wraże szeregi.

Tak niegdyś samo imię ś. p. Podbipięty przejmowało dreszczem zgrozy tatarsko-kozackie hordy. Przyłóżcie ucho do ziemi, obywatele, a usłyszycie, jak podskakują w panicznym lęku zajęcze duszy »nienarodowych« Polaków. I o tyle dobrą jest, o tyle w interesach tego »narodowego« obozu, w którym panuje już rozkładowa zaraza, pożądaną jest, ta mądra, ta głęboko obmyślana enuncyacya. Tylko... Ça manque un peu d' apropos.

A co się tyczy zadośćuczynienia, widać, że pan Dmowski okazał się przynajmniej na jednem polu istotnym demokratą..., któremu są obce zaśniedziałe uprzedzenia narodu szlacheckiego. Panie Dmowski, z gotowością dania honorowej satysfakcyi u nas nikt się przez oficyalne komunikaty nie deklaruje, bo to jest suppozycya, która w tym głupim narodzie szlacheckim egzystuje dla każdego przeciętnego przyzwoitego człowieka. Panie Dmowski, tem się u nas nikt nigdy nie chwali, że nosi czystą spodnią bieliznę. Nie jesteśmy, chwalić Boga, narodem Serbów, Bułgarów, lub jakich innych słowiańskich przyjaciół i świnopasów.

Obowiązują nas jeszcze wiekami urobione, skrystalizowane dziedziczną tężyzną kultury ducha i form, zwyczaje towarzyskie, staropolskie »zastaw się, postaw się«, które jedynie dla pana, szanowny wodzu narodu z Pelcowizny, zdają się być czemś niezwykłem, niesłychanem. Są rzeczy p. Dmowski, których wreszcie własne pańskie panurgowe stado znosić dłużej nie potrafi, nie ścierpi, chociażby dlatego, że polska krew w jego żyłach płynie. Burżuazya polska jest jeszcze zbyt szlachecką w swym rdzeniu, ażeby mogła tolerować dłużej na swojem czele — pospolite chamstwo. Karyerę p. Dmowskiego można uważać za skończoną. Nieszczęśliwemu Boulangerowi polskiemu nie pozostaje nic innego, jak opuścić nieszczęsną arenę narodową ziemię polską i osiedlić się na cichej wyspie pingwinów, gdzie teren jeszcze nie wyzyskany dla politycznychnych wykolejeńców.

Mamy błogą nadzieję, że wśród pozostałych jeszcze przy jego boku ostatnich mohikanów znajdą się ludzie czułego serca, którzy udzielą mu odszkodowania za ból i zasiłku na drogę. A my go pożegnamy serdecznem — niech rzymski bożek Tryfon ma go w swej opiece (Anatol France, Sur la pierre blanche).

*) Po polsku mówi się: zajść komu (3 przypadek) drogę, lecz — zajść kogo (4 przypadek) z tyłu.

# SILVA RERUM.

SOLIDARNOŚĆ NARODOWA W PRAKTYCE WSZECHPOLAKÓW. „Baron Gautsch jest człowiekiem niezwykle mądrym i politycznie doświadczonym. Odrazu tedy spostrzeże, że takiemu Kołu polskiemu, którego większość składają posłowie wybrani z pomocą gwałtów i nadyżyć, nie potrzeba dawać jakichkolwiek koncesyj dla kraju, bo ci posłowie, drżący o swoje mandaty, napiętnowani wobec całej Izby, jako uczestnicy polityki niemoralnej, postawieni pod pręgierzem rozpraw na temat przelewu krwi w Drohobyczu, ani będą chcieli, ani będą mogli ujmować się za interesami kraju i narodu".

Kto to pisze? „Diło"? „Wschód"? „Deutsches Volksblatt"?.

A może któryś z organów opozycyi polskiej? Z tych, które atakują Koło Polskie i jego tradycyę polityczną? Z tych, które żądają od Koła zupełnej odnowy? „Naprzód"? „Kuryer"? „Życie"?.

Nie! Pisze to organ, który przed czterema laty glo-

ryfikował wybory galicyjskie. Pisze to organ, który wyklinał wszelką opozycyę orzeciw „Kołu Polskiemu“ i jego tchórzliwej polityce. Pisze to ultranacyonalistyczne „Słowo Polskie“.

A pisze pod adresem barona Gautscha ufne, że „Neues Wiener Tagblatt“ przedrukować nie omieszka Tak robi się solidarność narodowa „Koła Polskiego“. „Wszystko była maska podła!“

NOWE KOŁO POLSKIE. *Le roi est mort - vive le roi.* Skonało stare Koło Polskie. Wyborcy polscy sprawili mu pogrzeb zaiste paradny. Nie ujrzy już gmach przy Franzensringu godnych postaci: księdza Stojałowskiego, ani Wiącka, Stohandla, ani Fidlera; Krupki ani Szajera; Paducha ani księdza Szpondra. Fakt ów, mianowicie zaś upadek Stojałowskiego, kompletny upadek w dwóch a nawet w trzech okręgach (kandydował jako zastępca przy Fijaku) jest dla „Słowa Polskiego“ klęską „narodowego ducha“. Przyznajemy to chętnie, jeśli „duchem narodowym“ jest dla „Słowa Polskiego“ *russkij duch* w znaczeniu... — *vide* „Mogiła“ Zycha. Roztkliwia się p. Grabski nad niegodziwem utrąceniem „poczciwego Wiącka‘ ; teraz nad poczciwym Wiąckiem roztkliwiać się będą pp. adwokaci i prokuratorzy narodowo-demokratyczni, aby go od kary wykręcić! Dość jednak Stojałowskich i Wiącków. *De mortuis nil nisi bene,* a dobrze o nich mówić nikt, prócz p. Grabskiego się nie waży. Symptomatycznem jest przecież, że klęska narodowej demokracyi polega głównie — na wymieceniu z życia publicznego osobników, ocierających się o zakłady karne; na zdruzgotaniu i unicestwieniu najniemoralniejszej grupy poselskiej, jaką byli zawsze Stojałowczycy, wreszcie na klęsce grupy klerykalnej, wstecznej, dotkniętej również częściowo trądem korupcyi, jaką było sprzymierzone z wszechpolakami tzw. *centrum* katolickie. Takich szeregowców i sprzymierzeńców miała w parlamencie mała armijka wszechpolska!

W oczy rzuca się fakt jaskrawy: ludność polska Galicyi nie wybrała a n i j e d n e g o księdza! Na polu wątpliwej chwały legli pokotem i Stojałowski i Szponder i Męski i Kopyciński i Hanusiak i Żyguliński i Rzeszódko... Ten brak zaufania wyborców dla księżej polityki i księży polityków jest w katolickiej, zacofanej Galicyi szczególniej znamiennym. Jest poniekąd negatywnem odbiciem stanu duchowieństwa polskiego tej dzielnicy. Ale to nawiasowa uwaga.

Rozporządzali narodowi demokraci dwudziestu kilku głosami w poprzednim parlamencie: zostało dziesięć i to w tym wypadku, jeśli wątpliwa wierność Tertilów i Gallów dopisze na metę nieco dłuższą. Schodzą do roli opozycyi. Zapowiadają tę opozycyę wewnątrz Koła z nieporównaną bezwzględnością i butą. Odmawiają nowemu Kołu Polskiemu z góry moralnego prawa do obrony interesów kraju i narodu. Świadomie podważają kredyt Koła Polskiego, zwracają uwagę obcych na to wszystko, co czyni słabość Koła. Opozycya socyalistyczna, wyklinana za antynarodowość nie szła tak daleko, jak idą dzisiaj sami wyklinacze. Wydaje się pewnem, że solidarność Koła przestała być dla nich dogmatem od chwili, gdy w Kole Polskiem do przewagi dochodzą ich przeciwnicy.

Konserwatyści powracają w liczbie 20 jako grupa potężna; wpływ ich w porównaniu z poprzednim stanem rzeczy wzrośnie niesłychanie. Wnoszą dużo inteligencyi, dużo tradycyi politycznej, zręczności i wyrobienia. Są pogłoski o Bilińskim, lub Abrahamowiczu jako prezesach Koła! Biliński, który jako minister skarbu ważył się z takim cynizmem deptać najżywotniejsze interesy kraju, ma być prezesem, jako mąż zaufania Stapińskiego i ludowców. Abrahamowicz żadnej grupy demokratycznej nie miałby za sobą. Byłby on jako prezes w dzisiejszem Kole Polskiem, obranem przez głosowanie powszechne, krzyczącą anomalią, cudacznym wybrykiem rozbitej i niedołężnej „natury“ demokratycznej.

Najsilniejszym klubem będą ludowcy. Zgodnie z rolniczym przeważnie charakterem kraju i z przewagą chłopa w zastępach ludowych, demokracya chłopska słusznie zyskała wśród stronnictw demokratycznych miejsce naczelne. Pod sztandarem P. S. L. stanie 25—26 posłów. Jest to raczej sukces ruchu ludowego, uświadomienia mas, wyzwalania się ich z pęt klerykalizmu, aniżeli sukces Stapińskiego. Wbrew jego intencyom stanęło w liczbie wybranych dziesięciu ludzi z inteligencyi: w ich liczbie Kędzior, Tetmajer, Angerman, Lasocki, hr. Rey — dzielni, niezależni, nie stworzeni na manekinów chłopskiego hetmana, nie skłonni iść ślepo po manowcach jego osobistej polityki. Wbrew woli prezesa wola wyborców narzuciła stronnictwu Tetmajera, Reya, dra Banasia, Bisa, Jedynaka, Myjaka — opozycyonistów. Niezależnością i siłą przekonań odznacza się Witos. Ma też racyę prezes Stapiński do skarg. Ale rezultat wyborów jest zadatkiem odrodzenia ruchu ludowego w Galicyi. Swiadczą o tem dzielne postanowienia klubu w sprawie wykonania ustawy o budowie dróg wodnych.

Demokracya polska różnych odcieni wraz z posłami postępowymi, którzy pod własnym występując sztandarem uczestniczyć jednak będą w klubie demokratycznym jako hospitanci, wybiła się na pierwsze miejsce przed wszechpolakami, ale pod względem liczby ustępować będzie ludowcom i konserwatystom. Wraz z posłami Łazarskim, Lisiewiczem i Śliwińskim będzie w Kole Polskiem demokratów 15. Ogółem do obozów z imienia demokratycznych i ludowych należy wybranych posłów 51 na 71, przygniatająca zatem większość Koła. Nowe Koło Polskie demokratycznem być musi. Z łona obozów demokratycznych winien też wyjść nowy prezes reprezentacyi polskiej.

Klub polskich posłów socyalno-demokratycznych liczy 7 posłów z Galicyi, 2 ze Śląska. W skutek przesilenia wewnętrznego, istniejącego w łonie socyalnej demokracyi austryackiej, w skutek zatargu czesko-niemieckiego, socyaliści polscy uzyskają zapewne w wyższym niż dotąd stopniu wolną rękę. Jedyny socyalny demokrata ukraiński, Wityk, będzie zapewne hospitantem klubu polskiego.

Dwaj posłowie śląscy, należący do związku ludowego, ks. Londzin i dr. Michejda, pozostać chcą na uboczu. Do Koła polskiego nie wstąpią, przewidując, że będzie ono popierało rząd bez względu na interesa gnębionego ludu polskiego na Śląsku. Smutne przewidywanie... (*Uw.* Zdecydowali się wstąpić).

UCHWAŁY POLSKIEGO STRONNICTWA POSTĘPOWEGO. Dnia 4 lipca odbyło się zebranie organizacyi lwowskiej Polskiego Stronnictwa Postępowego. Powzięto uchwały następujące:

1. Przyjęto do wiadomości, że posłowie stronnictwa brali udział w posiedzeniu demokracyi polskiej — i zapowiedzieli swoje przystąpienie jako hospitanci do tej grupy, z zastrzeżeniem swej programowej i partyjnej odrębności.

2. Była mowa o przyszłych sojuszach w Kole i parlamencie, przyczem podkreślono, że na dłuższą metę większości nie można stworzyć bez wciągnięcia soc. demokracyi do bloku większości. Polecono więc posłom stronnictwa, aby utrzymywali stały kontakt z polską grupą partyi soc.-demokrat. a także z żywiołami, które ideowo zbliżają się do P. S. P., a które grupują się w P. S. L.

Omawiano w dalszym ciągu sprawę przyszłej prezesury Koła polskiego we Wiedniu. Pozostawiając w tym kierunku wolną rękę swoim wysłannikom, ustalono, że pomimo wzmocnienia się żywiołu konserwatywnego w obecnej chwili — jest obowiązkiem wysłanników P. S. P. wszelkiemi siłami dążyć do podtrzymania demokratycznego kierunku polityki Koła, a tem samem i prezesury w rękach grup demokratycznych, względnie ludowych.

Co do prac najbliższych w kraju, uznano za najważniejsze, obok dalszej organizacyi stronnictwa, agitacyę za demokratyczną reformą wyborczą do Sejmu, sprawą kanałową, oraz przygotowywanie materyałów do konkretnych wniosków w sprawie porozumienia polsko-ruskiego.

Dla przygotowania tych prac, wybrano osobny komitet wykonawczy stronnictwa, na którego czele stanął rektor Bronisław Pawlewski.



# Z RAPTULARZA.

EWAKUACYI WAWELU dokonała wreszcie w dniu 1 bm. wojskowość austryacka. Gmachy, dotąd zajmowane przez wojsko: trzy budynki, używane jako szpitale wraz z przyległemi basztami przeszły ostatecznie w ręce kraju. Ostatni żołnierz zeszedł z posterunku. Wawel jest teraz zatem w niepodzielnem władaniu kultury polskiej.

PROCES AKADEMIKÓW RUSKICH zakończył się co do wszystkich 101 podsądnych wyrokiem zasądzającym. Pięciu skazano na 3-miesięczną karę więzienia: resztę na miesiąc lub 2 tygodnie aresztu. Przestępstwo zakwalifikowano jako gwałt publiczny. Obrona zgłosiła co do wszystkich podsądnych zażalenie nieważności.

NAUKA STRZELANIA W SZKOLE ŚREDNIEJ W ZABORZE AUSTRYACKIM. Jak wiadomo w jesieni zeszłego roku wydało austryackie ministeryum obrony krajowej rozporządzenie, mocą którego miały być w szkołach średnich zaprowadzone dla uczni dwu najwyższych klas kursy nauki strzelania, oraz wykłady z zakresu elementarnych zasad sztuki wojennej. O znaczeniu, oraz wartości owego rozporządzenia dla szkoły polskiej w Galicyi, mieliśmy już sposobność wypowiedzieć swe zdanie. Witaliśmy ową innowacyę, jako moment w wychowaniu młodzieży polskiej wielkiej doniosłości. Niestety nasze władze szkolne nie rozwinęły należytej czynności, celem wprowadzenia w życie rozporządzenia ministeryum obrony krajowej. Pedagogowie nasi przecenili niektóre niewątpliwie ujemne, lecz dające się przy odpowiedniej energii i dobrej woli ciała nauczycielskiego łatwo usunąć strony nowego czynnika wychowawczego, a zaś nieocenili zasadniczego, niewątpliwie ogromnie dodatniego jego znaczenia. I tak stało się, że mimo, iż rok blisko mija od czasu wydania rozporządzenia w sprawie nauki strzelania w szkołach średnich, zaledwie w jednem gimnazyum galicyjskiem kurs strzelania zaprowadzono.

W numerze „Kuryera Lwowskiego" z dnia 1 lipca b. r. znajdujemy w korespondencyi ze Stanisławowa interesujące sprawozdanie z kursu nauki strzelania, który tam zaprowadzono w II. polskiem gimnazyum. Pozwolimy sobie z tego źródła zacytować kilka szczegółów.

Naukę strzelania wprowadzono w II. polskiem gimnazyum z początkiem kwietnia b. r., kierownikiem nauki został kapitan 20 p. p. obrony kraj. Mikołaj Horodyński. Uczniowie (z klas VII. i VIII.) w liczbie 72, zaznajomili się z historycznym rozwojem broni palnej, poznali składowe części karabina, oraz teoryę strzelania, ćwiczenia praktyczne odbywały sie na strzelnicy wojskowej. Nauka odbywała się dwa razy na tydzień przy wzrastającem zainteresowaniu się uczni. Przy końcu kursu, 24 ubiegłego miesiąca odbyło się premiowe strzelanie w asystencyi delegatów władz wojskowych, oraz grona nauczycielskiego. Najlepszym strzelcom rozdano nagrody, przyczem pierwszą nagrodę komendanta korpusu uzyskał uczeń VIII. klasy p. Maj.

Może przykład powodzenia kursu strzeleckiego w gimnazyum stanisławowskiem skłoni nasze władze szkolne do wyzbycia się zbytniego pesymizmu i spowoduje w przyszłym roku szkolnym wprowadzenie nauki strzelania we wszystkich gimnazyach w Galicyi.

(mi) PO AUSTRYI przechodzą wyraźnie Niemcy w okres gorączki przedwyborczej. Zaznacza się to nietylko ruchliwą działalnością stronnictw, ale odbija się i w ustawach, przedkładanych przez rząd parlamentowi Rzeszy i sejmowi pruskiemu. W pierwszym przeprowadził rząd nową konstytucyę dla Alzacyi, opartą na czteroprzymiotnikowem prawie wyborczem, w sejmie, dla ugłaskania liberałów, ustawę o krematoryach i „wielkim Berlinie". Rząd przychodzi jednak przed wyborców obciążony tylu śmiertelnymi grzechami, że drobniutkie ustępstwa powszechnego oburzenia nie uśmierzą. Kraj cały domaga się reformy wyborczej do sejmu pruskiego, głównej twierdzy rządów junkierskich, a na tem polu rząd żadnych ustępstw czynić nie chce. Już dziś odróżnić się dadzą wyraźnie dwie grupy: zwolenników i przeciwników reformy wyborczej i pod tem hasłem odbędą się styczniowe wybory parlamentarne.

ZAGRANICZNA POLITYKA EUROPEJSKA obraca się około dwu spraw: bliskiego wschodu i Marokka.

W Albanii zmusiły zwycięstwa Torgut-paszy i bliski upadek powstania zainteresowane mocarstwa do zrzucenia maski i otwartego oświadczenia się za powstańcami. Uczyniła to naprzód w formie oględniejszej Rosya — bezpośrednio potem Austrya w półoficyalnym artykule „Fremdenblattu".

Z pism wiedeńskich widać jasno, że w porozumieniu pozostają i Włochy, których rola w powstaniu albańskiem była od początku bardzo przejrzystą. Turcya robi rozpaczliwe wysiłki rozwiązania kwestyi albańskiej przez przyjęcie wszystkich żądań powstańców. Ogłosiła zupełną amnestyę, odbudowanie kosztem rządu zburzonych kościołów i wiosek, powołanie na urzędy krajowców, prawo noszenia broni (za „waffenpassami", i odbywanie służby wojskowej w kraju. Czy jednak Turcya uzyska za tę cenę pokój, pozostaje rzeczą wątpliwą. Zainteresowane mocarstwa dość mają środków i powodów do niedopuszczenia do zgody albańsko-tureckiej i wyciągnięcia konsekwencyi z sytuacyi.

Głośniejszym, choć mniej groźnym jest dziś zatarg marokański. Za przykładem Francuzów, którzy wkroczyli do Fezu, poszli Hiszpanie i czający się za ich plecami Niemcy. Kanonierka niemiecka zawinęła dla ochrony niezagrożonych zresztą poddanych niemieckich do portu Agadir na zachodniem wybrzeżu Marokka. Odrazu wypłynęła pogłoska, że Niemcy chcą założyć sobie tam stacyę węglową. Sprawa ta wywołała wiele hałasu we wszystkich stolicach, choć groźną być może co najwyżej dla niepodległości Marokka, które zaspokoić może apetyty rywali. Charakterystycznem jest stanowisko prasy włoskiej i austryackiej. W przeciwieństwie do sytuacyi z przed paru miesięcy witają krok niemiecki z nieukrywaną radością i bez zastrzeżeń oświadczają się za niemi. Jest to zrozumiałe, jeśli zważymy, że Niemcy są ze względów ekonomicznych jedynym szczerym przyjacielem Turcyi, a Francya jej głównym wierzycielem.

(mi) WE FRANCYI upadł po krótkich rządach gabinet Monisa. Bezpośredni powód był nadzwyczaj błahy, faktycznie jednak obaliły gabinet pewne koterye republikanów lewicy, które chciały utrącić reformę wyborczą w duchu proporcyonalności, oraz towarzystwa kolejowe, zaniepokojone akcyą rządu w obronie wydalonych za strejk kolejarzy. Następcą Monisa został Caillaux, dający obu rękojmię rządów w ich duchu, choć niewątpliwą przesadą jest obwołanie go przez reakcyjną prasę Briandem II. Nowy rząd nie przychodzi z projektami reform postępowych, ale zwrot do reakcyi briandowskiej jest już dziś niemożliwym.

(mi) W PORTUGALII zebrała się nareszcie konstytuanta i proklamowała oficyalnie republikę. Monarchiści urządzili nieszkodliwą próbę ruchawki.


**„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.**

Prenumerata wynosi:

| | rocznie | półr. | kwart |
|---|---|---|---|
| w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier | 20 kor. | 10 kor. | 5 kor. |
| w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec | 18 mk. | 9 mk. | 4·50 mk. |
| w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa | 12 rb. | 6 rb. | 3 rb. |
| w innych miejscowościach Europy | 24 fr. | 12 fr. | 6 fr. |
| w Ameryce | 6 dol. | 3 dol. | 1·50 dol. |

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

# TĘCZA

ZAKŁAD REPRODUKCYJNY i ŚWIATŁODRUKÓW
MICHAŁA POLASKIEGO i SKi.
**LWÓW.** UL. ZIMOROWICZA 14.




Telef. nr. 835.

# KEFIR

poleca

**MLECZARNIA PRZEWORSKA**

A. ks. Lubomirskiego
i St. hr. Mycielskiego

**Lwów, ul. Polna 25.**

Zamówienia odsyła do domu.

---

**Żądaj Pan cennika darmo.**

**F. PAMM**

Kraków ul. Zielona 3.
Zegary, Towary muzyczne i galanteryjne.

---

# Prywatna Szkoła ludowa

imienia

# H. JORDANA

**Lwów, Mikołaja 16.**

wzorowo urządzona pod względem hygieny i pedagogii przyjmuje uczniów do wszystkich czterech klas.

*Mieczysław Kistryn.*

---

## Wypożyczalnia książek

pod firmą

## „Książnica literacko-naukowa"

Lwów, Kopernika 14.

- Najcelniejsze utwory literatury - powszechnej. Najświeższe nowości dla pp. Akademików i Studentów.

**Zniżone ceny.**

---

**WARKOCZE**

od 5 kor. polecam. Z prowincji wystarczy próbka włosów, peruki do przedstawień wypożyczam.

**Weisshar, fryzyer**

plac Bernardyński liczba 12.